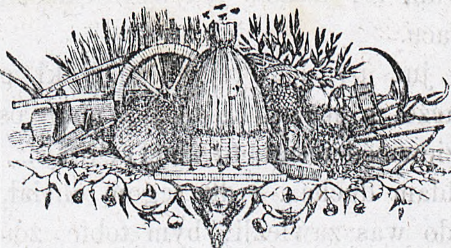
Tom XII.  Nr. 8.

11. marca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb Łukasza Narożniaka.

Opowiadanie prawdziwe.

Mróz był trzaskający, bo działo się to 12. lutego bieżącego roku, gdy przed mieszkaniem Jana Narożniaka, wyrobnika w Uzarzewie — milę od miasta Poznania — zajechał wózek, a na nim leżał chory, zgrzybiały starzec.

W izbie Janowa właśnie mężowi i dzieciom jakiś lichy podała obiadek, bo są biedni a dzieci mają kilkoro.

Starszy chłopiec obaczył zajeżdżający wózek, i wyskoczył przed chatę, a i zaraz znowu powrócił, wołając:

— Tatusiu, matusiu! to, oj, dziadka chorego przywieźli! O! Jezu, mój Jezu, ledwo już sapie.

Jan porwał się, za nim żona, i wybiegli z pospiechem.

— Tatusiu! ojcze jedyny, co wam to? — wołał syn przestraszony, a synowa w płacz.

Znieśli chorego do izby i na łóżku Jana ułożyli. A Janowa, płacząc, poczęła się krzątać, by biedakowi chociaż trochę polewki gorącej podać.

Rozpłakały się i dzieci. A Jan stał przy łóżku z załamanemi rękoma i patrzał się w twarz trupią starego ojca.

— I cóż wam to, tatusiu jedyny? Chcecie doktora, to i poskoczę do pałacu.

— Nic mi już po doktorze — odrzekł chory słabo. — Moje dziecko, taćże ja wiem, że to już moja ostatnia nadeszła godzina... Lat dziewięćdziesiąt, to nie frachy!... Wiem, że lada chwila, Bogu oddam ducha... i dla tegom chciał, mój synku jedyny, by mnie do was zawieźli, bym tobie, żonie twojej, dzieciom pobłogosławił... bym na twojem skonał ręku, abyś ty mi powieki zacisnął, a nie żaden obcy człowiek... Tęskno mi była do was!

Kobieta szlochała głośno, a przy niej i dzieci.

— A czegoż tam płaczecie? — mówił dalej stary Narożniak — przeżyłem lat dziewięćdziesiąt, a kiej się liczę z temi latkami mojemi, to mi wcale lekko na sercu... i na sumieniu. Tu, oj, tu! — wskazał na piersi i dłonią przycisnął. — Tu!... tu zachowałem skarb mój cały, skarb najdroższy!... Zobaczycie to po śmierci mojej... A pracowałem, pracowałem, póki sił stało, i nigdym ręki nie wyciągał po datek... Ho ho! nie napróżno byłem żołnierzem, i wiem co to jest honor... Przyszła godzina ostatnia... i stanę przed sądem Wszechmogącego Boga, czysty na sumieniu, i wierzę, że mnie Ojciec przenajświętszy do swojej wiecznej przyjmie chwały.

— Tatusiu, posilcie się, wej, trochę! — prosiła Janowa, siadając przy nim z miseczką w ręku. — Choć, aby kąsek!

Starzec przeżegnał się i połknął parę łyżek, a potem wyrzekł:

— Bóg ci zapłać, moja synowa! Już więcej polewki nie potrzebuję. Ot, poproście do mnie xiędza proboszcza, bo łaknę obrachunku z sumieniem swojem. Idź-że, Janku, idź!

Jan rękawem łzy otarł, zarzucił kaptur i do plebanii pospieszył.

Proboszcz do chorego niebawem się udał. Spowiedź dość długo potrwała. Nastąpiło ostatnie olejem świętym namaszczenie — a potem modlitwy.

Gdy kapłan z mieszkania wychodził, wyrzekł do zebranej rodziny:

— Otóż ten starzec prawdziwie po świętobliwemu umiéra. Dzieci, bierzcie wzór z niego.

Nazajutrz z rana, właśnie gdy na mszę świętą zadzwoniono raz pierwszy, stary Łukasz Narożniak Bogu ducha oddał.

Płacząca rodzina przyklękła w około i pomodliła się gorąco.

Gdy żal pierwszy minął, a starszy chłopiec, zanoszący się płaczem, pobiegł, by zadzwoniono zmarłemu — zaczęli Janowie radzić o pogrzebie, bo właśnie i grosika jednego w chacie nie było.

— A słuchaj-że no — ozwała się żona — a on skarb, co go to tatuś na piersiach nosili i zawsze wspominali o nim?

— Ej, coby to miał być za skarb! Skaplerz pewnie, świętości jakie, albo obrazek — odrzekł mąż — to jeno będzie pamiątka dla nas.

— No, ale zobacz przecie, Janku.

Jan przystąpił do łoża, przeżegnał się, zmówił krótki paciorek, pocałował nie ostygłą jeszcze rękę ojca, odchylił koszulę i wyciągnął worek skórzany, stary, zużyty, zawieszony u szyi nieboszczyka na spętanym sznurku. Założył znowu koszulę, przystąpił do okna, rozciągnął worek, i wyjął z niego pare arkuszy papieru złożonego, a był tak zżółkły, stary, przetarty, że ledwo w całości się trzymał. Na tych papierach były i pieczęcie jakieś, także już przytarte bardzo. Oboje, mąż i żona, przyglądali się tej puściźnie, ale nic zrozumieć nie mogli, lubo że Jan i pisane czytać umiał.

— A to, wej, zabierz to wszystko i xiędzu proboszczowi zanieś — mówiła Janowa — może on w tem co poradzi, bo przecież jest znający się bardzo. Jezu, mój Jezu! Matko najświętsza! — westchnęła kobieta, składając dłonie — żeby też ojczysko choć poczciwy miało pogrzeb! pracował całe życie, harał, a zawsze sprawiedliwie i z Bogiem!

Jan poszedł do proboszcza, opowiedział mu wszystko, i torebkę z papierami oddał.

— Umarł w Bogu i spocznie w Bogu! — wyrzekł kapłan — bo żywot jego był cnotliwy a śmierć, śmiercią sprawiedliwego. Wieczny jemu odpoczynek! — i zajął się przejrzeniem papierów: były to same świadectwa nieboszczyka służby

wojskowej — i jakież było zdziwienie kapłana, gdy z nich wyczytał, gdzie to ten stary wiarus wszędzie bywał.

Łukasz Narożniak urodził się we wsi Dąbsku, w Wielkiem księztwie Poznańskiem roku 1775. W roku 1806 wstąpił do wojska polskiego, do pułku 10go piechoty. W roku 1808 przeniesiony został do pułku 9go; w roku 1815, 2. czerwca umieszczono go w strzelcach pieszych gwardyi, a 15. września 1817 roku w pułku grenadyerów gwardyi. Odbył kampanie w latach 1807, 1808 i 1813 w Niemczech, w Hiszpanii, we Francyi i w Rosyi; znajdował się w bitwach pod Terewem, Gdańskiem, Talawera, Almanied, Okanią, Moskwą i przy oblężeniu Drezna, gdzie był rannym i wziętym w niewolę austryacką. W listopadzie 1817 roku został Łukasz Narożniak w Warszawie, przez ówczesną komisyę rządową wojny uwalnianym od dalszej służby wojskowej, a od tego czasu służył przez lat czterdzieści ośm bez przerwy aż do swojej ostatniej choroby we wsi S. za rataja.

Proboszcz przejrzawszy te wszystkie papiery, postanowił z największą uroczystością zwłoki nieboszczyka pochować, tak jak na to zasłużył stary polski wojak, który z szablą w dłoni taki obszar ziemi był obszedł i tak wzorowy zawsze wiódł żywot.

Dziedziczka wsi i pan M. z K., dowiedziawszy się o śmierci starego a zasłużonego żołnierza, pospieszyli z ofiarami ku podniesieniu obchodu pogrzebowego.

Cała zebrała się parafia, i przy odgłosie dzwonów, poniesiono zwłoki Łukasza Narożniaka na ostatni spoczynek. Niosła je młodzież, a który do niesienia ich docisnąć się nie mógł, ten przynajmniej rękę wyciągnął, by się dotknąć trumny, w której złożono szanowne szczątki sprawiedliwego człowieka i walecznego żołnierza. Bractwo świętego Michała ze światłem, bezpłatnie przewodniczyło pochodowi, jako też i wszystkie chorągwie z kościoła.

Po odprawionych modlitwach i spiewach kazał kapłan raz jeszcze wieko trumny podnieść i w te odezwał się słowa:

„Łukaszu! Nim twoje zwłoki tej świętej oddamy ziemi, pozwól nam raz jeszcze twoje oglądać oblicze, bo widzimy w tej chwili może po raz już ostatni polskiego żołnierza z wiel-

kiej armii Napoleońskiej. Twoja twarz wyschła, twoje ręce kościste i całe twoje wynędzniałe ciało są smutnym dowodem, żeś wiele cierpiał i wiele pracował na tem padole płaczu. Ciesz się przeto, że skończyła się już twoja męczeńska pielgrzymka. W tym cichym grobie snu błogiego nie przerwą ci jęki padających ofiar na polu bitwy, świstanie kul i huk armat, jak to było pod Lipskiem. Tu ognista spieka afrykańskiego słońca już ci dokuczać nie będzie. Tu bałwany wzburzonego morza już ciebie straszyć nie będą. Tu już nie doznasz niewoli, nędzy i głodu. Ani mrozów moskiewskich, ni też klęsk Berezyny. I rany twoje już cię boleć nie będą. Spij więc, spij, aż do dnia zmartwychstania twojego i otrzymania korony niebieskiej za twoje cnoty chrześciańskie i waleczność!“

Po tych słowach zacnego kapłana w koło wszyscy przyklękli, pomodlili się — wieko trumny zapadło — i ręka każda się wzniosła, by nań garść ziemi rzucić.

Pokój popiołom sprawiedliwego i walecznego Polaka!

Siekierki 26. lutego 1865.

Paulina z L. Wilkońska.

Spuścizna po naczelniku.

W Krakowie, hej w starym królów polskich grodzie
Gwar słychać i radość panuje w narodzie.

Dzwon bije radośnie jak na mszę w niedzielę,
Lud strojnie przybrany jak w wielkie wesele.

W Krakowie, hej w starym, przed Maryi kościołem
Pan naczelnik z narodem przysięga pospołem:

— Tak nam Boże dopomóż, męką syna twego,
Że ojczyznę wyzwolim z licha wszelakiego!

Nad starym Krakowem, słoneczko przygrzewa,
Pan Kościuszko tak naród do miłości wzywa:

— Miłujcie się wzajem jednej ziemi stany,
Miłujcie się kmiecie z mieszczany i pany!...

Czarne chmury wiszą nad polskiemi łany,
Upadł pan Kościuszko z bolesnemi rany.

Choć upadł i krwią się aż cały zalewa,
Jednak naród polski do miłości wzywa.

Cała polska ziemia płakała w niedoli,
Zaś jej pan naczelnik wzięty do niewoli

Choć jęczy boleśnie gdzieś w moskiewskim grodzie,
Głos swój szle do Polski: Miłuj się narodzie!

Hej! nad polską ziemią kruk kracze i kracze
Kościuszko gdzieś wiedzie swe życie tułacze.

Choć w ciągłej tęsknicy w obczyźnie przebywa,
Z tamtąd naród polski do miłości wzywa.

Smutek między ludem, i serce w żałobie,
Kościuszko już leży w cichym, zimnym grobie.

Choć w grobie, lecz dusza jego w niebie świeci,
A głos słychać ciągle, jak przez Polskę leci:

— Miłujcie się wzajem jednej ziemi stany,
Miłujcie się kmiecie z mieszczany i pany.

Wincenty z Podkamienia.

Ciury Bolesława Chrobrego.

Kiedy dziś kto niezdara i niegłaźny, to go ludzie przezywają c i u r a! Aleć za dawnych czasów, to jeden c i u r a polski stał za stu zamorskich zuchów, jak wam tu tego przykład opowiem.

Siedemset lat z okładem przetrwała Polska po śmierci Bolesława Chrobrego, a nie doczekać się jej już było takiego drugiego króla. Mieliśmy potem jeszcze wielu dzielnych w boju, a rządnych w domu panów, ale żaden przecież nie potrafił tak dzielnie gromić wrogów naszej ojczyzny, tyle krajów do niej przyłączyć, tyle bitew wygrać co ten król sławny Bolesław Chrobry.

Ależ bo i dzielny był wtedy naród. Nie jeden z nas musiałby się powstydzić przed ciurą Bolesława Chrobrego! A przecież ciura nie był to żaden rycerz, ale ot taki pachołek, co podczas wojny szedł za swym panem, by pilnować jego pakunki, a przy tem mu i usłużyć.

Broni nie miał nieraz i całe swe życie w ręce, a bił się przecież tak chwacko, że i wierzyć temu trudno. Aleć to prawda święta, jak Bóg na niebie, bo to spisali mądrzy ludzie, co wtenczas żyli, a kłamać nie umieli.

O tych więc ciurach taką mamy gadkę:

Bolesław Chrobry, co to jak zwykle miejsca długo nie zasiedział, wybrał się na wojnę na Rusinów. Ale traf tak zarządził, że i książęciu ruskiemu zachciało się Polskę zobaczyć i nuż z swem wojskiem w kraj Bolesława Chrobrego. Przeszli więc obaj rzekę, co była granicą między ruskim a polskim krajem nie wiedząc jeden o drugim, Bolesław szedł na ruski kraj a tożsamo i ruski książe na Polskę. Dopiero gdy się nad brzegiem rzeki obozem rozłożyli, poznali obaj jak się rzeczy mają. Wtedy rzekł książe na Bolesława:

— Niech wie ten zwierz, że mnie już nie umknie, bom go memi psami otoczył.

Na to nasz Bolesław mając w Bogu nadzieję, tak mu prawi:

— Zwierz jestem, jak mówisz, bo w krwi twych żołnierzy i wodzów stąpać będę!

Ale nie dosyć na tej odpowiedzi. Bolesław postanowił na trzeci dzień pokazać mu szablą, co to są Polacy a tymczasem kazał nazajutrz sutą ucztę wyprawić. Na ten rozkaz rzucili się ciury, by na ucztę nagotować zwierzynę i inne przybory kuchenne. A gdy już tego wszystkiego pod dostatkiem mieli, poszli nad rzekę by tam naczynia i jadło wypłukać i wody nanosić dla wojaków.

Aleć Rusini nie dali im spokoju. Zaczęli ich drażnić, na nich przeróżne obelgi miotać a wreszcie i strzały puszczać. Tego już było za dużo ciurom. Położyli co mieli w rękach w porządku na boku, a sami poszli do obozu, gdzie żołnierze polscy trochę drzemali, a wziąwszy po cichutku ich broń dalej na wroga przez rzekę!

Ruskie wojsko nie przygotowane na taki śmiały napad nie mogło uporządkować się prędko i w nogi, a ciury na nich, tak siekli i kłuli, że cały obóz krwią był zalany. Tym krzykiem dopiero zostali żołnierze polscy przebudzeni i co tchu stało, pobiegli swoim na pomoc. Co tu się teraz dopiero działo mocny Boże! Na kilka mil ani słychu potem o wrogach.

Cóż powiadać o starodawnych wojakach polskich, kiedyć nawet ciury były takie chwaty!...

Bartek Szkolarz.

Historya o niedobrym synie.

(Dokończenie.)

Teraz dopiero poczęła Franka gospodarować po swojemu. Nasamprzód wyprawiła starego Marcina do izby służebnej a swoją poczęła przystrajać z pańska. U okien porozwieszała jakieś szmatki, ale za to okien nie myła jak to bywało dawniej, łóżka stoły posprowadzała modniejsze, obrazy Świętych powyrzucała a porozwieszała jakieś malowane osoby, które ze sobą z dworu przyniosła. Przystawał Florek na wszystko, bo i jemu się pańskie obyczaje podobały. Do roboty Florka była za delikatna a i mało co umiała, a gdy się raz zabrała do pieczenia chleba, to taki jej się udał, żebyś nim kamienie porozbijał. Kiedy drugie wracały już z pola do domu na południe, to Franka jeszcze dobrze się wyciągała na pierzynach, a kiedy słoneczko stanęło nad głowami, to jej znowu upał przeszkadzał. Florek dobrze jej we wszystkiem pomagał. Przydali się jedno do drugiego. Tylko stary rozciągał więcej swoje stare kości niż przedtem, bo przybyło do chaty więcej gęb do jadła a mniej rąk do pracy. Upominał i zachęcał stary Marcin jak mógł do pracy, ale to pomogło tyle co groch o ścianę rzucać. W rok jakoś przybyło dziecko, wnuk Marcinowi. Pomyślał Marcin, może teraz zabierze się Franka do roboty, bo ma na kogo pracować, ale gdzietam! czem garnek za młodu nakipi, tem trąci na starość. Stało się jednego wieczora, kiedy to Marcin naładowawszy wóz snopami sam powoził, co mu siły stało, bo za-

bierało się na deszcz, więc trzeba było co suche pochwycić z pola, kiedy przejeżdżał grobelkę nad stawem, a było już dobrze ciemno, przewrócił się wóz i przygniótł starego Marcina tak nieszczęśliwie, że mu coś w krzyżach pękło. Litościwi ludzie wracając także z pola, podnieśli wóz i przywieźli do zagrody na nim starego Marcina na pół żywego. Wylizał się trochę Marcin ale mu już odtąd nie pracować w polu. Słudzy robili jak chcieli, boć nie było ich komu doglądać. Poczęło wszystko upadać. Niedostatek zajrzał do zagrody i ani rusz komu go wygnać, bo Florek zamiast się wziąć do pracy, rozpił się i zaczął przewodzić nad starym ojcem niedołęgą, wymawiał mu każdą łyżkę lichej strawy, niepomny na nic, ba nawet na to, że i to, co sam jadł, było pracą ojca jego. Zbywali pomału to to, to owo z dobytku, by choć głód odpędzić. Tak poszła jedna krówka za drugą, a gdy i tych nie stało, wyprowadził Florek jednego konia na jarmark.

VI.

Palec Boży na Marcina.

> Ojciec syna swego o kęs chleba prosi,
> A tu syn na ojca rękę swą podnosi,
> Oj synu, ty synu, choćby całe morze,
> W gorącem piekle już ci nic pomoże!

Nadeszła wiosna, trzeba było wyjść z pługiem na pole, a tu nie ma co przyprządz. Męczył się Florek sam z jednym koniem ale jakoś robota nie szła, bo sług już nie było, a stary Marcin w swojem kalectwie ledwie że nogami pląta i Boga prosi rychło go już też do siebie powoła. Franka narzeka i przeklina Florka na czem świat stoi, że ją z dobrego bytu na taką nędzę sprowadził, Florek zaś przeklina Frankę, że mu i w dom nic nie wniosła i do pracy nie zdała. A i Marcinowi nie pofolgowali, wyklinali jego starości i kalectwu, ba nawet ujmowali mu coraz strawy, by go zmusić do tego, aby przywdziawszy torbę szedł błagać litości u swoich sąsiadów. Ciężko mu znosić takie obchodzenie się z nim syna, ale ciężej jeszcze wyciągać na starość rękę, boć już nie długo mu życia na tym Bożym świecie.

Pewnego dnia, gdy Florek wrócił z pola, a Franka nuż nad głową terkotać, że musi tak ciężko pracować i niedołęgów żywić, a przecież to nie wielka praca byłaby dla starego Marcina, żeby usiadł gdzie przy drodze pod figurą i żebrał a jakoś by mu tam ludzie z głodu nie dali zaginąć, począł Florek gwałtem nastawać na ojca, by już raz wyniósł się z jego chaty, bo go już dłużej niewyżywić, a do śmierci mu może jeszcze daleko, a stary Marcin nuż się prosić przed synem by mu pozwolił choć umrzeć we własnej chacie, by miał litość nad starym ojcem i nie dał go na pośmiewisko ludzkie, by taki gospodarz jak on, nie wycierał na starość cudze kąty i skonał gdzie pod cudzym płotem, i byłby się może wyprosił u syna, gdyby nie Franka rozsierdzona powolnością Florka, poczęła wśród przekleństw zabierać się, i porzucać Florka i całe jego gospodarstwo, jeżeli jeszcze dłużej zatrzyma ojca.

Florek jak zwykle zły syn, któremu byle co posłuży, by swój zły zamiar wykonać nuż wykrzykiwać na ojca, by już raz ruszał z domu boć Franka potrzebniejsza niż taki stary niezdara, a kiedy Marcin zalewając się łzami gorzko płakał i z miejsca się nie ruszał, pochwycił rozsierdzony Florek Marcina za siwe włosy i począł go wlec po ziemi, by go z chaty wyrzucić i tak przywlókł go już do proga, kiedy to stary Marcin, zebrawszy ostatki sił zawołał strasznym głosem:

— Stań, synu mój, stań, spełniłeś już wyrok Boga na ojcu twoim!

Zadrzał Florek i puścił z rąk starca, stanął jak słup, głos ojca przeniknął go na wskróś i przeszedł mu mrowiem po kościach a Marcin stary kończył coraz już słabszym głosem:

— Dotąd, ach dotąd, do tego samego proga wlókłem i ja niegdyś ojca mego za włosy. Spełniłeś karę boską na mnie, niech ci Bóg tego nie pamięta, bo sprawiedliwa jest kara moja!

Zaniemiał Florek, aż kiedy ztrwożony chwyta się do ojca, by go na rękach nazad wnieść do chaty i pielęgnować aż do śmierci, zimne już było ciało Marcina, snać Bóg w odwiecznej swej sprawiedliwości dozwolił Marcinowi odpokutować na tej ziemi swą wielką winę, aby go na drugim świecie daleko

cięższej nie karać, boć wielka tam musi być kara dla syna za znieważenie ojca.

Żal wielki scisnął Florka za serce, wniósł z uszanowaniem trupa ojca do chaty, złożył przyzwoicie na katafalku i nie troszczył się więcej o Frankę i jej narzekanie. Pogrzeb odbył się przyzwoity a Florek tak płakał żałośnie nad grobem a tak się modlił gorąco za duszę Marcina, że się wszyscy jemu dziwili.

VII.

Kara Boża na Franka.

Wrócił nareszcie Florek do chaty swojej, aleć nie wysiedzieć mu już w niej więcej, głos ojca ze wszystkich ścigał go kątów, a włosy siwe ojca wciąż widział porozrzucane po ziemi, a kiedy się po nie schylił to znikały a kiedy się podniósł, znowu je widział a w wichrze, co zaszumiał gruszą przed oknem i w poświście komina wciąż słyszał głos ojca konającego. Już dłużej nie wytrzymać Florkowi i Franka mu nic nie pomogła, nie szukał jednak Florek pociechy w Bogu ale w gorzałce, sprzedawał ostatnie, by tylko zalać głowę i nie wiedzieć o Bożym świecie. Franka mu obmierzła, począł ją teraz bić i wyganiać, a nie długo to trwało, boć Franka zmiarkowała, żeć niezadługo nie będzie nic w chacie ani w oborze, a kiedy już ostatki poszły na wódkę, zabrała się, kiedy to Franek spał pijany jak zabity, i poszła het gdzieś do wielkiego miasta. I Florek nie długo popasał po ucieczce Franki w swej chałupie.

Dziecko wzięli miłosierni ludzie za swoje, chatę i stodoły sprzedał za co kto dał, a sam spakował torbę, taj na plecy wojackim sposobem i nuż dalej za Franką do dużego miasta, boć wstyd mu było pójść w służbę w tej samej wsi, gdzie był gospodarzem. Jak długo miał pieniądze to jeszcze pół biedy w dużem mieście powodziło się Florkowi. Znaleźli się i dawni kamraci, co z nim razem przy ułanach służyli, a teraz nie najlepszem się rzemiosłem trudnili, okpiewali, kto się dał, nic nie robili a ciągle od szynku do szynku się włóczyli. Podobało się takie życie Florkowi, lecz nie długo to tak było.

Pieniędzy brakło a tu żaden kamrat nie pomoże, bo żaden nic nie ma, a tu jeść co dnia potrzeba. Szukał więc Florek służby, a że to dla lekkoducha zawsze u żyda służba najlepsza, bo to i robić nie tak wiele, a gdy ci żyd co powie, to ty mu zaraz odpowiesz a nabierze cię z góry, to go jeszcze lepiej to też i Florek został żydowskim furmanem, takim co to na każde zawołanie pana swego odpowiada „zaraz, zaraz“ a z miejsca się nie rusza. Lecz i tu długo nie popasał, boć i żyd pijaka nie ścierpi, poszedł do drugiego i do trzeciego, ale nigdzie miejsca nie zagrzał długo, bo obok pijatyki okradał i oszukiwał swoich panów, a żyd nie da się długo oszukiwać i napędzi ze służby.

Sprzykrzyła się nareszcie Florkowi taka poniewierka po żydowskich kątach, jak sam nieraz mawiał, a poradziwszy się kamratów jakby to dalej żyć w dużem mieście bez służby, przyjął ich spółkę i odtąd walęsał się z nimi tak długo aż dopóki razem ze swymi kamratami nie dostał się za odbijanie drzwi sklepowych do kryminału. Tak przebrany w mundur aresztancki Florek z kajdankami na nogach, rozbijał kamienie i brukował miasto a przeklinał godzinę w której się urodził, bo to nie żart jeść sałamachę a pracować jak koń kiedy to się pierwej i dobrze jadło i od pracy odwykło.

A France także nie najlepiej poszło, bo kiedyż i gdzie leniuchowi było dobrze. Nie chciała bawić swego własnego dziecka, wynajęła się z potrzeby za niańkę żydowską, ale i to jej się sprzykrzyło, puściła się na lekki chleb, alec nie długo go jadła, gdyż straciła zdrowie prędko, a że to takich włóczęgów nie cierpią nigdzie to też i Frankę, że była bez służby odsyłali kilka razy przymusem na miejsce jej urodzenia, a że zawsze nazad wracała, zamknęli ją też do kryminału na poprawę, gdzie pewnego dnia kiedy wychodzili aresztanci i aresztantki na robotę zeszli się naraz w podwórzu Franka z Florkiem, poznali się i nuż sobie wymawiać, i przeklinać za swoją dolę tak dalece, że nim się wartowniki postrzegli, leżała Franka na ziemi z rozwaloną głową, tak jej dogodził Florek łopatą żelazną z którą szedł zgartywać błoto na gościńcu. W kilka tygodni umarła Franka i pochowali ją na uboczy cmentarza grodeckiego pomiędzy innemi aresztantkami i wetknęli na jej gro-

bie pręcik z wierzby. Tyle pamiątki po Francę. Florka zaś powtórnie oddali pod sąd i za zabójstwo i niepoprawę skazano na ciężkie więzienie aż do śmierci.

Tak to Bóg karze wszystkich już na tej ziemi, którzy rodziców swych znieważają i nie uszanują czwartego przykazania Bożego, które opiewa:

„Szanuj ojca i matkę abyś długo żył i aby ci się dobrze powodziło na ziemi.“

L. S.

O prochu do strzelania,

co opowiadał gajowy Szymon.

Gajowy Szymon wracał sobie wieczorem z lasu i spotkał po drodze Grzegorzowego Marcinka. Marcinek był bardzo ciekawy chłopak i wszystko chciałby był wiedzieć na wylot. To też co jeno zobaczył, zaraz się wypytywał ludzi dokumentnie, i dobrze sobie pamiętał. Kiedy tak Marcinek szedł z Szymonem, zapytał go:

— Panie Szymonie a zabiliście dziś jaką zwierzynę?

Szymon pokazał mu kilka kuropatw i przepiórek i mówi:

— Ot kilka ptaszków niosę, będzie z nich pieczenia na niedzielę. Ale dobrze, żem sobie przypomniał. Trzeba znowu nabić fuzyę, bo oto widzisz, jak nad Walkowem podwórzem krąży jastrząb, uwziął się szelma na kury i jedną po drugiej morduje.

To powiedziawszy Szymon stanął, wyciągnął z torby rożek z prochem, wysypał trochę na dłoń i począł nabijać fuzyę.

— Dziwo to dziwo! — mówi Marcinek — ten proch! taki czarny drobniutki maczek, a patrzcie, jak go wystrzelić, to z taką okrutną siłą niesie śrót i kule! Zkąd też się wziął ten proch na świecie?

— To ty nie wiesz Marcinku, co to jest proch? — pyta Szymon.

— No jużci, że wiem, co to jest, ale żeby mnie kto zapytał, kto go to robi i z czego, tobym i gęby nie umiał otwo-

rzyć — mówi Marcinek. — A już to najbardziej mi dziwno, komu to na myśl przyszło, taki maczek robić. To musi być jakiś djabelski wynalazek!

Gajowy Szymon się zaśmiał i mówi:

— Ot pleciesz Marcinku, tać to niczyj inny jeno ludzki rozum wymyślił proch do strzelania.

— A dawno ten proch nastał na świecie? — zapytał Marcinek:

— Ja ci to zaraz powiem — mówi Szymon — Dawnemi bardzo czasy ludzie nie wiedzieli nic o prochu i dopiero temu lat 500 jak proch wynaleźli.

— A jakże ludzie strzelali wtenczas na wojnie lub na polowaniu? — pyta Marcinek.

— Kiedy jeszcze ludzie prochu nie znali — mówi Szymon — to strzelali do siebie z łuków. Łuki te podobne były do tych, co sobie dzieci robią z kawałka obręcza i sznurka. Otóż takiemi łukami strzelali dawniej ludzie do siebie, jeno że obręcz był ze stali i strzała to samo. Zaś na wojnie strzelano także do siebie ogromnemi kamieniami, a to także tym sposobem, że z naciągniętych sznurów na deskach rzucano daleko kamienie na siebie. I tak to było dopóty, aż proch wynaleziono.

— A któż to ten proch wynalazł? — pyta Mancinek.

— Lat temu 500, kiedy żył w pewnem mieście niemieckiem zakonnik, Franciszkanin, a nazywał się Bertold Szwarc. Ten zakonnik dziwnym trafunkiem proch wynalazł. Był to uczony człowiek i lubił sobie rozmaite sztuki przyrządzać i ciągle sobie jakby w aptece siedział nad rozmaitemi proszkami i płynami, mieszał to sobie w rozmaity sposób i patrzył, co z tego będzie. Otóż raz, widzisz, nasypał on do garnka potłuczony węgiel, siarkę i saletrę i pomieszał to razem, a potem wziął się do czegoś innego, a garnek ten przyłożył kamieniem. Otóż kiedy ten Szwarc sobie coś dalej fabrykował koło ognia, iskra mała wpadła naraz do garnka, bo go dobrze nie był przykrył. Kiedy ta iskra wpadła w ten garnek, to jak nie huknie coś w garnku jak grzmot! garnek pękł w czerepy a kamień poleciał w górę! Okrutnie się biedny zakonnik przestraszył, bo sobie nie umiał wytłumaczyć, co by to znaczyć

mogło! Aż kiedy po trosze się opamiętał i począł sobie przemyśliwać, przypomniał sobie, że do garnka nasypał był potłuczoną siarkę, saletrę i węgiel. Natłukł więc znowu tego wszystkiego a jak to zapalił, znowu taki był huk straszny.

— Jakto? — zawołał Marcinek — to proch do strzelania robi się z węgla, saletry i siarki?

— A tak Marcinku — odpowiedział gajowy — z tego go dziś fabrykują.

— A toć to nie taka wielka sztuka narobić prochu, kiedy to tak łatwo! Toć już i jabym teraz potrafił! Jeno mi dziw Marcinie, że wy sobie sami nie robicie prochu, tak jak ten zakonnik Szwarc, tylko go kupujecie w mieście?

— Oho, chłopcze! nie tak to łatwo! — prawi gajowy — aby zrobić dobry proch do strzelania, trzeba na to znać wiele sztuczek i sekretów, potrzeba przeróżnych maszyn, naczyń, narzędzi i innych ciekawości. Do robienia prochu są osobne fabryki, gdzie mnóstwo robotników i uczonych panów krząta się koło tego.

— Ciekaw jestem teraz — mówi Marcinek — jak też potem ludzie fuzye wynaleźli?

— Kiedy już nauczyli się robić proch — rzecze na to Szymon — wtedy myśleli nad tem, jakby tu tego prochu użyć na wojnie. Więc też robili najpierw żelazne rury, w tę rurę proch i kamyki pakowali a potem podpalali gnotem i tak strzelali. Ale to na nic się nie zdało. Więc zaczęli myśleć dalej, i dodali do tej rury czyli lufy żelaznej łoże z drzewa, aby można było dobrze przyłożyć fuzyę przy strzelaniu, a zamiast zapalać proch gnotem, zrobili taki zamek z krzemieniem, czyli skałką, co zapadał na kawałek stali, krzesał iskry i proch podpalał na panewce. Zaś w niedawnych czasach to już i skałki odrzucili i natomiast wymyśleli takie naparsteczki maluczkie, co jak na nie spadnie kurek, zaraz zapalają proch w fuzyi. Te naparsteczki nazywają się k a b z l e albo p i s t o n y.

— A k a n o n a co to znaczy? — zapytał Marcinek.

— A tobie się zkąd wzięła k a n o n a? — rzecze na to — gdzieś ty to słowo słyszał?

— Ano Tomek urlopnik, co teraz powrócił z wojska, tak mi o tem prawił! — mówi Marcinek.

— A bodaj go z jego kanoną! — prawi Szymon — tak to sobie nasi chłopcy w świecie język szkaradzą! Kanona nie jest żadne słowo polskie, jeno z kiepska niemieckie. Po naszemu to się nazywa działo, alboć już w najgorszym razie armata. Toć przecież znasz tę spiewkę:

Wszak to działa nie dziwo,
Dyć to jadą krakusy,
Hej za lancy co żywo
Dalej naprzód wiarusy!

Jenerale to chwaty
Od lewego tam skrzydła,
Wiodą cztery armaty
I Moskali jak bydła!

Hej, hej! był ja tam, gdzie się to działo, o czem ta spiewka mówi! Było to pod Stoczkiem! gdzieśmy tęgo potuzali Moskalów pod panem jenerałem Dwernickim. Panie świeć nad jego duszą!

Tu stary gajowy zdjął kapelusz i zamyślał się czegoś, a w oczach mu coś tak błysło, jakby łza! Żal było staremu dawnych czasów!...

— Pytasz mnie chłopcze — mówił po chwili Szymon gajowy — jak działa robili. Oto widzisz potrzeba było ludziom do wojny takich wielkich fuzyj, aby niemi setki ludu zmiatać było można i mury, fortecy i wały rozwalać! I wtedy poczęli lać takie okrutne rury z żelaza i strzelali z nich ogromnemi kulami. Teraz już armaty umią robić doskonale, i walą z nich kulami, takiemi jak twoja głowa, a nawet większemi. A kula taka armatnia leci daleko, daleko, choćby i pół mili nieraz!

— Mój Boże! — mówi Marcinek — jak to ludzie sami na siebie powymyślali rozmaite sposoby na zabójstwa!

— Ha cóż robić — prawi Szymon — kiedy między ludźmi są źli i przewrotni, kiedy jeden naród od drugiego doznaje napaści, kiedy sobie Pana Boga za nic nie ważą, to nie może być inaczej. Za ogień ogień, za żelazo żelazo, za kulę kulę — tak to bywa między ludami na wojnie! Daj Boże aby nie było krzywdy i bitki na świecie! Ale jak na naród jaki wróg dybie to nie ma nieraz innego lekarstwa....

— Szymonie! Szymonie, a owo patrzcie jastrząb nad nami!

— Paf! — strzelił z fuzyi Szymon a jastrząb spadł nie żywy na ziemię.

Wojtek ze Smolnicy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.